

STANISŁAW IGNACY  
WITKIEWICZ

## Letters from the Tropics

### Letters to Mother

Orient Line of Royal Mail Steamers  
R.M.S "Orsova"  
June 20, 1914

Dearest Mother,

We're nearing the strait of Bab'el Mandeb and are about to cross into the Indian Ocean. The voyage through the Mediterranean seems like a sojourn in subarctic regions compared with the crazy heat that we're having now. The sun has reached the tropic of Cancer which we're crossing at this very moment, so the sun's rays are hitting us at right angles. One could say that it was quite cool till we reached Suez. We arrived in Port Said at 11 a.m. and left early next morning, at 2 o'clock. Bronio and I took a walk in the Egyptian quarter. Marvellous faces and costumes. Mostly blue long robes. Faces either wild or languid with delight. Men only, quite obviously. In the streets there are stands selling poppy cakes as well as other sweets of a weird persuasion. And coffee-houses with gentlemen sitting in them who are not of this world but nevertheless seem to be more trustworthy than the Italians in Naples. Even the worst rogues do not convey the impression of a scoundrel; on the contrary: they emanate a sort of seriousness and dignity. In front of a cafe, on the pavement, there may be a buffet with a lot of brass vessels standing on it or hanging on long strings. (This is a letter of a total moron but I feel justified by this crazy heat). – Just think: a rather narrow sea between two burning-hot deserts. The bishop of New Guinea who's been traveling with us told us today, when we were taking tea – barely conscious from the heat and drenched with sweat as if we'd just come out of a bath – that back in New Guinea he'd never experienced such pleasant coolness. Sounds like a nice prospect for Bronio, who's planning to do some conceptual work. The landscape along the Canal seems awfully weird. The Canal itself is narrow, maybe 30 or 50 yards. On one side there's Egypt – oases, palms and strange trees with fluffy flowers and a wonderful smell that reminds me of linden. On the other side there's the

dreadful Arabian desert – yellow-orange sands which begin right on the shore as little wavelets and gradually turn into huge mountains gleaming with a pink phosphorescent glow on the horizon. The valleys with salty sediment at the bottom glitter with a bluish reflection of the sky. We pass two steamers which hug the shore to let us through. Every now and then we come across the posts of the French company that owns the Suez Canal. Little houses among palms and trees with wonderful crimson flowers. Ctd. We left Port Said at 2.30 a.m. and reached Suez only about 1 p.m. The ship barely crawls, guided by a local pilot. It accelerates a little when crossing salty lakes that the Canal passes through. We stayed for half an hour in Suez. Marvellous hues of the sea which cuts into the red and yellow sand. Bands of emerald, turquoise, yellow, green, celadon and ultramarine topped with a chain of wild rocky mountains, purple (that's a fact) in colour. Then we entered the Gulf of Suez, flanked by the rocky mountains of Egypt on one side and the orange sandy mountains of the Sinai Peninsula on the other. We could see both shores late into the evening.

It's been two days now since we saw any land and the heat is getting worse. I'm sitting writing a letter, sweat streaming down my forehead. This is the Music Room on the deck. The cabin is a real sauna. All night long the ventilator keeps booming. We sleep completely naked. At 7 the sound of a monstrous gong wakes us up so we can take a bath. Then breakfast (smoked meat, fruit with rice and coffee). One can have both fish and roasted meat. Then lying on the deck and reading begins. Then some stupid games. Awful boredom. In the evening we go aft and join the riffraff in the third class to watch the stars. Last night we could see the Alpha Centauri or the Canopus. The Cross hasn't appeared yet. Venus is shining in the west. You and I may be watching it simultaneously. The sea hardly moves at all and our huge ship (123000 tons) sways very lightly and seriously. There's nothing curious in the Red Sea except the heat, flying fish and phosphorescence. The fish (about 10 inches long) fly in droves, crossing a distance of some 50 yards, throwing silver gleams against the dark blue wave. Phosphorescence can be seen only in the wake of the ship, along the twin walls of foamy water churned by the two screw propellers. (Many, many kisses for Mother from Staś). Greenish sparks shoot from the screws, fan out into the wan light and disappear a dozen or so yards behind the ship.

June 21 – Today we passed 12 volcanic islands called Zebayr. Wonderful pumice rocks, white and brown, perforated like sponges. Two of them had distinct volcanic cones. About 5 o'clock the island Jebel Zukush. Coffee-coloured sky and a greenish sun. Green-

## Do Matki w Zakopanem

\*

[Papier z nadrukiem:] Orient Line Of Royal Mail Steamers RMS „ORSOVA”

20 VI 1914

Najdroższa Mamo: Zbliżamy się do cieśniny Bab-el-Mandeb, po której zacznie się Ocean Indyjski. Podróż przez Morze Śródziemne wydaje się pobylem w podbiegunowych okolicach wobec tego szalonego upału, który teraz mamy. Przejeżdżamy właśnie zwrotnik Raka, w którym obecnie znajduje się słońce i świeci na nas kompletnie prostopadle. Do Suezu można powiedzieć, że było chłodno. W Port Said staliśmy od 11–2 w nocy. Byliśmy z Broniem na spacerze w dzielnicy egipskiej. Twarze i stroje cudowne. Niebieskie, długie szaty przeważają. Twarze o wyrazach dzikich albo mdlejących z rozkoszy. Tylko mężczyźni oczywiście. Na ulicy stragany, w których sprzedają się słodczyce i makagigi dziwnego nabożeństwa. Kawiarnie, w których siedzą panowie nie z tego świata, ale jednak bardziej wzbudzający zaufanie niż Włosi w Neapolu. Nawet u najgorszych wywłok nie czuje się kanaliowości, tylko jakąś powagę i dostojność. Przed kawiarnią, na trotuarze, stoi bufet obstawiony i obwieszony naczyniami mosiężnymi na długich sznurach. (List zupełnego kretyna, ale upał szalony usprawiedliwia.) – Proszę pomyśleć: wąskie stosunkowo morze między dwiema rozpalonymi pustyniami. Biskup Nowej Gwinei, który jedzie z nami, powiedział dziś przy podwieczorku do nas, nieprzytomnych z upału i spoconych, jak gdybyśmy wyszli z kąpieli, że nie pamięta takiego zimna przyjemnego na Nowej Gwinei jak dzisiejszy dzień na statku. Wesoła perspektywa dla Bronia, który ma umysłowo pracować. Pejzaż wzdłuż Kanału strasznie dziwaczny. Kanał wąski. Może ma 30–50 m szerokości. Z jednej strony Egipt z oazami, palmami i jakimiś dziwnymi drzewami o puszystych kwiatach i cudownym zapachu przypominającym lipę. Z drugiej straszliwa pustynia arabska, z żółto-pomarańczowymi piaskami, które od małych fal przy brzegu Kanału przechodzą w ogromne góry świecące różowym fosforycznym blaskiem na horyzoncie. Doliny świecą od osadzonej w nich soli niebieskawym odblaskiem nieba. Mijamy dwa parowce, które się przytuliły do brzegu, aby nas przepuścić. Co pewien czas stacje kompanii francuskiej, do której Sueski Kanał należy. Domki obsadzone palmami i drzewami o cudownie purpurowych kwiatach.

C.D. Z Port Said wyjechaliśmy o 1/23 w nocy, a w Suezie byliśmy dopiero koło 1 w południe. Okręt ledwo się wlecze, prowadzony przez pilota miejscowego. Trochę szybciej jedzie się przez słone jeziora, które Kanał przecina. W Suezie staliśmy 1/2 godziny. Cudowne kolory morza, wrzynającego się w czerwono-żółty piasek. Smarag-

STANISŁAW IGNACY  
WITKIEWICZ

## Listy z podróży do tropików

dowe, turkusowe, żółte, zielone, seledynowe i ultramarynowe pasy. Nad tym linia gór dzikich, skalistych, fioletowego (dosłownie) koloru. Potem wjechaliśmy w Zatokę Sueską, mając po jednej stronie skaliste góry egipskie, po drugiej pomarańczowe góry piaskowe Półwyspu Synajskiego. Do wieczora widać było brzegi oba.

Już drugi dzień bez ładu, wśród wzrastającego upału. Siedzę spokojnie pisząc list, a pot leje się mi z czoła ciurkiem. To w Music Roomie na pokładzie. W kajucie łaźnia. Całą noc huczy wentylator. Śpimy nadzy zupełnie. O 7 budzi nas potworny gong na kąpiel. Potem śniadanie (wędzonka, owoce z ryżem i kawa). Można jeść i rybę, i pieczeń. Potem zaczyna się leżenie na pokładzie i czytanie. Potem idiotyczne gry. Nuda straszna. Wieczorem idziemy do 3 kl. na tył między baciarów i obserwujemy gwiazdy. Wczoraj widać było albo Alfa Centauri albo Canopus. Krzyża jeszcze nie ma. Wenus świeci na zachodzie. Może jednocześnie na nią patrzymy. Morze bardzo mało się rusza i nasz statek duży (12300 ton) bardzo lekko i poważnie się kołysze. Na Morzu Czerwonym oprócz gorąca, ryb latających i fosforescencji nic osobliwego nie ma. Ryby (wielkości 30 cm) latają po jakieś 50 m całymi stadami, świecąc srebrem na tle granatowej fali. Fosforescencję widać tylko z tyłu statku wzdłuż dwóch wałów wody, spienionej od ruchu dwóch śrub okrętu. Zielonawe iskry wylatują spod śrub i rozszerzając się w mdłe światło giną o kilkanaście metrów za statkiem.

21 VI [1914]

Dziś przejeżdżaliśmy koło 12 wulkanicznych wysepek Zebayr. Cudowne skały pumeksowe białe z brązowym jak gąbki dziurawe. 2 znowu miały wyraźne stożki wulkaniczne. Koło 5 wyspa Jebel Zukusht. Niebo koloru kawy i zielonawe słońce. Chmury na tem tle zielononiebieskie, jasne, wyglądają jak przeziory w szarem niebie. Wyspa brązowa ginie w kawowej mgłę. Pod nią morze z seledynowym odbiciem słońca jak tafla z aluminium. Koło 10 wieczorem wjeżdżamy w Bab-El-Mandeb. Monsoon podobno jeszcze nie zaczął wiać. Bardzo się tym martwię. Dotąd morze zupełnie spokojne.

blue, pale clouds look against this background like openings in the grey sky. The brown island drowns in the coffee-coloured mist. Underneath the sea with a celadon reflection of the sun resembles an aluminium sheet. About 10 p.m. we're entering the Bab-El-Mandeb. They say the monsoon hasn't started blowing yet. I'm very worried. The sea has been quite calm so far.

Trans. by M.K.

\*

June 24, 1914

Our last day in the Red Sea and the day that we spent in the Gulf of Aden were both monstrously hot. 39° R (sic) in the cabin. Even worse out there in the sun. Bronio's been totally lifeless. He doubts it if he can stand New Guinea. Whereas I've got quite used to the conditions and have been feeling fine these days. The day before yesterday at 10 p.m. we passed Perim, a port in the strait of Bab-El-Mandeb. We saw nothing but the leering eye of a lighthouse. Then we spent the entire day traveling across the Gulf of Aden with not a trace of land in sight. That night we decided to sleep on the deck because the heat was just terrible. The Alpha and Beta Centauri can already be seen. The former is the star nearest us. The light takes 4 years to reach here. At night the ship began to rock slightly and at 6 a steward woke us up telling us to remove our stuff since the waves were going to start washing over the deck soon. We were passing cape Guarda Fui at that moment (see map). Some 4 miles away in the morning mist one could see a vertical rock about 300 yards high and an utterly yellow hill. About 8 o'clock, as soon as we passed the cape and crossed into the Indian Ocean, the monsoon started blowing and the huge waves of the open sea grabbed us. We sat on the deck for a while, wearing highly incomplete costumes. (The women sleep on the left side of the deck and the men on the right). The women started crossing over, so I went to take a bath, but as soon as I tried to dress, I threw up quite awfully. Horrible sinking of the floor or violent upward movement of same. I hadn't eaten anything so I kept throwing up bile. Bronio, as it later turned out, was doing the very same thing on the deck. Then I fell asleep and slept till 10 o'clock. A navy officer by the name of Pitcher woke me up, sent down by Bronio to my rescue. He helped me dress (meanwhile I threw up another portion of bile) and led me up onto the deck. All the symptoms ceased at once and we spent the rest of the day lying side by side, feeling sort of vomitive. Just an orange for lunch. We only went downstairs at 7 o'clock to have dinner. But we ate just one course and fled back onto the deck. Don't tell anyone about Bronio's symptoms. I think he'll get used to the heat. Another night on the deck. This morning Bronio kept

throwing up. I've got quite accustomed to the swaying by now (it sounds like a risky statement since we need another three days to reach Colombo). The waves come at us from the side. It's a west-southerly monsoon. Every once in a while the whole huge ship moves sideways climbing a wave (about 6 yards high) and then falls into an abyss. The sun is shining. The wind makes the air cooler and it's quite a pleasant time, really, unless one is throwing up. The waves are just marvellous. They rise slow as mountains and scatter into splashes of green foam as soon as they meet another wave which is moving forward. It'll go on like this till we reach Colombo. The Southern Cross has finally appeared.

[the letter ends here]

Trans. by M.K.

\*

### Letters to Father

R.M.S. "Orsova", June 21, 1914

Dearest Father,

We're nearing the strait of Bab-El-Mandeb and we're going to cross it at midnight. We've just passed 12 volcanic islands called Zebayr (scattered along some 6 miles). Weird, small, uninhabited, contorted in shape and form, except for the two that emerge from the water as regular cones. The sky looks like coffee and milk with little celadon-blue clouds. At the beginning of our journey we took them for openings in the overcast. The sea is calm. It's getting hotter and hotter. We're right on the tropic and since this is summer the rays of the sun fall quite vertically. This morning the thermometer in my cabin read 34° R. I'm sitting in the Music Room, wearing a shirt with sleeves rolled up. Sweat is streaming down my face. Frightful heat, we're lucky that it's dry. The bishop of New Guinea, who's been traveling with us, told us yesterday while we were having tea that back in his diocese he'd never experienced such pleasant cool days. (The paper is wet with sweat which is literally pouring from my hands.)

The greenish sun seen against the coffee-coloured sky reflects itself in the copper water as celadon sparks.

Droves of flying fish start from under the bow, glittering in the sun as if they were made of metal. One of them (10 inches long) fell through the window into my cabin yesterday. The Mediterranean as I remember it now seems like some subarctic country. The stars of the southern sky begin to appear (such as the Canopus or the Alpha Centauri). At night green sparks of phosphorescence explode from under the propeller screws and get spewed through the apertures in the hull to melt in the foam, turning into broad, pale, luminous

24 VI 1914

Ostatni dzień na Morzu Czerwonym i dzień w zatoce Aden mieliśmy gorąco potworne. 39°R (sic) w kajucie. Cóż dopiero w słońcu. Bronio zupełnie zdechły. Wątpi, czy mu się uda być na Nowej Gwinei. Ja zupełnie się przyzwyczailem i te dni czułem się fizycznie zupełnie dobrze. Zawczoraj wieczorem o 10 minęliśmy port Perim w cieśninie Bab-El-Mandeb. Z tego widzieliśmy tylko lypiące oko latarni morskiej. Potem cały dzień bez kawałka lądu przez zatokę Adenu. Tej nocy postanowiliśmy spać na pokładzie, bo upał był straszny. Widać już Alfa i Beta Centauri. Alfa najbliższa nam gwiazda, do której światło idzie 4 lata. W nocy zaczęło się lekkie falowanie, a o 6-tej zbudził nas steward, żebyśmy rzeczy usunęli, bo fala będzie zalewać pokład. Właśnie mijaliśmy przylądek Guardafui (obacz na mapie). W odległości jakichś 7 km widać było w rannej mgłę prostopadłą skałę jakich 300 m i wzgórze zupełnie żółtego koloru. Jak tylko minęliśmy przylądek koło 8-ej i znaleźliśmy się na Oceanie Indyjskim, zadał Monsoon i chwyciły nas wielkie fale pełnego morza. Siedzieliśmy chwilę na pokładzie w strojach mocno niewykończonych. (Na lewej pokładu stronie śpią kobiety, na prawej mężczyźni). Kobiety zaczęły przełazić, więc poszedłem do kąpeli, zaledwie jednak popróbowalem się ubierać, rzygnąłem strasznie. Potworne zapadanie się podłogi lub wypychanie do góry gwałtem. Ponieważ nic nie jadłem, więc rzygałem żółcią. Bronio, jak się okazało później, robił to samo na pokładzie. Potem zasnąłem do 10. Obudził mnie oficer marynarki wojennej p. Pitcher przysłany na ratunek przez Bronia. Pomógł mi się ubrać (przy czym znowu rzygnąłem żółcią) i wywiódł na pokład. Od razu wszystko przeszło i cały dzień przeleżeliśmy obok siebie w półrzyglkowym usposobieniu. Na lunch pomarańcza. Dopiero na obiad o 7 poszliśmy na dół. Ale tylko jedno danie zjedliśmy i uciekliśmy na górę. O symptomach Bronia nie trzeba nic nikomu mówić. Myślę, że się przyzwyczai do upału. Znowu noc na pokładzie. Dziś Bronio jeszcze rzygał rano. Ja już się przyzwyczailem zupełnie (boję się to mówić, bo jeszcze 3 dni do Colombo). Fale mamy z boku. Monsun zachodniopółnocny. Co chwila cały olbrzymi statek wyjeżdża bokiem na szczyt fali (jakieś 6 metrów wysokiej) i zapada w otchłań. Słońce świeci. Wiatr ochładza powietrze i o ile się nie rzyga, jest dosyć przyjemnie. Fale są cudowne. Podnoszą się powoli jak góry i rozpryskują się w zielonej pianie, kiedy spotykają falę idącą od przodu. Do Colombo ciągle to samo. Już widać Krzyż Południowy.

[na tym list się urywa]

Do Ojca w Lovranie

RMS „ORSOVA”, 21 VI 1914

Najdroższy Tato:

Zbliżyliśmy się do cieśniny Bab el-Mandeb, którą przejeździemy o północy. Minęliśmy tylko co 12 (na przestrzeni 10 km) rozszanych, wulkanicznych wysp Zebayr. Dziwaczne, małe bezludne, wykręcone w sylwetach i budowie, z wyjątkiem dwóch, tworzących regularne stożki wystające z wody. Niebo koloru kawy z mlekiem, na tle czego chmurki seledynowoniebieskie, które z początku braлиśmy za przeziory niebieskie. Morze spokojne. Upał wzmaga się. Jesteśmy na zwrotniku, a ponieważ jest lato, słońce świeci zupełnie prostopadle. W kabinie było 34° Reaumura rano. Siedzę w koszuli z zawiniętymi rękawami w Music Roomie. Pot leje się z twarzy ciurkiem. Straszliwe gorąco, całe szczęście, że suche. Biskup Nowej Gwinei, który z nami jedzie, oświadczył wczoraj przy podwieczorku, że nie pamięta tak przyjemnie chłodnych dni w swojej diecezji. (Papier mokry od potu, który się leje z rąk.)

Na tle nieba kawowego słońce zielonkawe, odbijające się w miedzianej wodzie seledynowymi iskrami.

Stada rybek latających wylatują spod okrętu, lśnią się w słońcu jak z metalu. Jedna (30 cm) wpadła do kajuty wczoraj przez okno. Morze Śródziemne we wspomnieniu przybiera charakter kraju podbiegunowego. Pokazują się gwiazdy południowego nieba (Canopus czy Alfa Centauri). W nocy spod śrub i tych womitujących otworów okrętowych wylatują zielone iskry fosforescencji i roztapiając się w pianie na szerokie, blade plamy świecące, nikną w ciemnościach.

W Port Said staliśmy od 11–2 w nocy. Udaliśmy się z Broniem do dzielnicy egipskiej.

Domy otoczone balkonami na słupach ponad trotuarami. Zapach kóz, kawy i makakigów dziwacznej formy, które się sprzedaje na straganach. Ludzie piekielni, o twarzach dzikich albo omdlałych z rozkoszy. Tylko mężczyźni widzi się na ulicach. Trafiliśmy na pochód weselny (tylko mężczyźni), w powozach panowie w fezach. Furmani trzymają rury, z których buchają płomienie acetylenu, i piekielna, ponura, monotonna muzyka (piszczałki i bębny) za nimi. Ubrani w długie szaty, przeważnie niebieskie. Najgorsza hołota w Egipcie ma powagę i dostojność wschodnią i ostatni baciarnik wzbudza zaufanie.

Kanał wąski (50 m, może trochę więcej). Minęliśmy dwa parowce, które przytulone do brzegu czekały na nasz przejazd.

Z jednej strony Egipt pełen oaz i palm, z drugiej, straszliwa, drgająca w słońcu Pustynia Arabska, płaska u brzegu, górzysta w oddali. Pomarańczowe piaski drgające w słońcu i doliny pokryte solą, w których niebo odbija się mdłym, szarym fioletem. Co chwila stacje francuskiej kompanii, do której należy Suez. Domki otoczone palma-

blue,  
open  
the c  
celac  
shee  
Man  
yet.  
far.

J  
(  
sper  
39°  
sun  
star  
con  
day  
in t  
leer  
day  
of l  
dec  
Be  
sta  
nig  
we  
wa  
W.  
m:  
co  
ut  
pa  
m  
of  
w  
or  
T  
bi  
a  
n  
th  
d  
a  
n  
n  
a  
f  
c  
J  
c  
f  
l

stains and finally disappear in the darkness.

We stopped in Port Said from 11 p.m. to 2 a.m.

Bronio and I went to the Egyptian quarter.

Houses ringed with balconies, raised on columns, seem to hang over the pavements. Smell of goats, coffee and strangely shaped poppy cakes sold from the stalls. The people here are just infernal, their faces either wild or languid with delight. Only men can be seen in the streets. We came across a wedding pageant (men only) composed of fezzed gentlemen riding in carriages. The coachmen held pipes with acetylene flames blowing from them. Infernal, morose, monotonous music (fifes and drums) followed that whole parade. The men wore long robes, most of them blue. The worst riffraff in Egypt emanates eastern seriousness and dignity so that even the lowest bum seems trustworthy.

The Canal is narrow (50 yards, maybe a little more). We passed two steamships which hugged the shore, waiting for us to move along.

On one bank there's Egypt full of oases and palms, on the other – the frightful Arabian desert shimmering in the sun, flat near the shore, mountainous in the distance. Orange sands shimmering in the sun and valleys covered with salt. The sky reflected in the latter looks bland, greyish-purple. Every once in a while we pass posts of the French company that owns Suez. Little houses among palms, trees with crimson masses of flowers and others, smelling like linden. It takes us till afternoon to arrive in Suez. Marvellous hues of the sea which cuts into the desert with narrow bands, any colour you can name, from ultramarine through emerald and turquoise to yellowish green in shallow places. Topped with wild rocky mountains, purple-reddish. Whirlwinds milling the sand everywhere.

Then the Gulf Suez. On one shore we see the sandy Arabian mountains of the Sinai Peninsula, while on the other there are the rocky, funnel-shaped mountains of Egypt. The heat makes writing impossible. I lie in a deckchair all day long and go to the bar from time to time to have an iced drink. Even reading is difficult in this hell. We've got acquainted with some French people from the first class and they often drop in for a visit. I've developed a loathing of the English. Having seen them in close-up I've decided that they [are] nothing but brutes lacking any emotions or aesthetics. About 5 p.m. we passed the island of Jebel Kuzur. Four volcanoes joined together. A deathly, sombre, fascinating sight. Brown island against the coffee-coloured sky [drawing in text]. Some grey-green trees and yellow beaches on the long flat shore. The rest (mountains about 500 yards high) is nothing but brown lava. The bluish-green sun reflected in the slightly wavy, bronze sea looks like a sheet of melted aluminium. The brown seagulls with white-rimmed

wings and white tails add to this sombre picture.

Frightful heat. Even the bishop has been sweating a little and got slightly red. 34° R in the cabin. Sea water at 80° F – about 30° R. I've been tolerating the heat quite well, the only trouble is that I'm sweating awfully, but then everyone does. This glare, this general melting into the brown fog, these mysterious desert islands which disappear in the coffee-coloured haze have something extremely attractive and fantastic about them. Now and again a steamer scurries past (we see seven or nine of them daily) or there's a lighthouse on an island, with a solitary man on a pumice rock blinking at night. Some of these islands of white pumice look like huge sponges.

Trans. by M.K.

\*

R.M.S. "Orsova", June 24, 1914

The evening before last we crossed the Bab el-Mandeb. The only proof of that was the lighthouse in Perim which leered at us with a greenish light. Then a whole day of crazy heat in the Gulf of Aden. (39° R in the cabin). We slept on the deck, on blankets. The women on the left side, the men on the right. The mood downstairs is just terrible. Smells like a hairdresser's and a loo combined. It's stuffy beyond anyone's endurance. Plus the moaning of the pump. Hell.

A steward woke us at 6 telling us to grab our gear because the waves were about to start jumping. We were already swaying quite impressively, passing cape Guardafui, the last barrier between us and the Indian Ocean, some 4 miles away. A vertical rock about 300 yards high and a yellow hill disappearing in the morning mist. The colours of the sky at sunrise and sunset are pale and the sun itself is greenish-yellow. As soon as we passed the cape, the southerly-western monsoon began to blow and the huge ocean waves grabbed us. We will remain in their power till Colombo where it will take us three days to arrive without seeing a scrap of land in the meantime. The sea is marvellous with the whitecaps. Waves huge as mountains rise and lift us sideways (each wave parallel to the path of our colossus). Then we fall [into] swaying ravines. The tops of the waves have a marvellous colour like translucent oxide finishing. I went down to take a bath but threw up some gall instead from my empty stomach. I slept for two hours and couldn't go out because I kept getting sick whenever I tried to get up. The terrible heat in the cabin put me in a vomitive mood. Mr. Pitcher, a navy officer, rescued me at last, sent down by Bronio who was puking up on the deck meanwhile. Mr. Pitcher



Stanisław I. Witkiewicz z ojcem Stanisławem Witkiewiczem – fotografia wykonana przy pomocy samowyzwalacza, fot. Stanisław I. Witkiewicz, Lovrana, 1913. Ze zbioru Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem  
*Stanislaw I. Witkiewicz with his father Stanislaw Witkiewicz – photograph by time releaser, photo by Stanislaw I. Witkiewicz, Lovrana, 1913. The collection of the Tatra Museum, Zakopane*

mi, drzewami o purpurowych masach kwiatów i inne, wydające zapach podobny do lip. Dopiero po południu w Suezie. Cudowne kolory morza wrzynającego się w pustynię wąskimi pasami, od ultramaryny, przez szmaragdy i turkusy, aż do żółtej zieloności – gdzie płyciej. Nad tym góry fioletowoczerwonawe, dzikie, skaliste. Wszędzie zrywają się trąby piasku.

Potem zatoka Suez. Z jednej strony, piaskowe góry arabskie (półwyspu Synaj), z drugiej, egipskie skaliste, lejgowato wymodelowane. Gorąco odbiera możliwość pisania. Leżę cały dzień w leżaku i od czasu do czasu piję icedrink w barze. Czytać nawet niewiele można w tym piekle. Zaznajomiliśmy się z Francuzami z I kl. i ci u nas często bywają. Do Anglików mam już wstręt. Przy bliższym przyjrzeniu się jest [to] bydło bez żadnych uczuć i estetyki. Koło 5 po południu przejeżdżaliśmy koło wyspy Jebel Kuzur. Wulkany 4 złączone. Śmiertelnie ponury i fascynujący widok. Wyspa brązowa na tle nieba [tu rysunek w tekście] kawowego. Na długim, płaskim brzegu jakieś drzewa szarozielone i plaże żółte. Reszta (góry może z 500 m) z brązowej lawy. Słońce niebieskawozielone odbija się w lekko sfalowanym morzu koloru brązu (metal) i odbi-

cie słońca wygląda jak płyta roztopionego aluminium. Mewy brunatne z białymi obrzeżeniami skrzydeł i białymi ogonkami dopełniają ponurości. Upał straszliwy. Nawet biskup się spocił trochę i sčerwieniał. 34°R w kabinie. Woda w morzu 80° Farenheita. Koło 30°R. Zupełnie dobrze znoszę gorąco, tylko pocę się, jak zresztą wszyscy w sposób straszliwy. W tym rozżarzeniu, roztopieniu w brunatnej mgle, tych tajemniczych wyspach pustych, znikających w kawowej srzędze jest [coś] niesłychanie pociągającego i fantastycznego. Od czasu do czasu prze-myka parowiec (może z 7–9 dziennie widzimy) albo na którejś z wysp widać latarnię morską, z której w nocy mruga jakiś samotnik na skale z pumeksu. Niektóre wyspy z białego pumeksu wyglądają jak olbrzymie gąbki.

\*

RMS „ORSOVA”, 24 VI 1914

Zawczoraj wieczorem o 10 przejechaliśmy Bab el-Mandeb. Jedynym znakiem tego była latarnia morska w Perim, która łypała na nas zielonkawym światłem. Potem cały dzień upału szalonego w zatoce Aden. (39°R

blue  
ope:  
the  
cela  
she:  
Ma  
yet.  
far.

helped me dress and took me upstairs. I got better right away. We lay down and ate nothing till lunch, of which we only managed to have one course. Another night up on the deck. Bronio has no stomach for the heat and the sea, whereas I've got used to them and physically I'm quite fine. Even this morning Bronio was getting sick. I'm quite well now and although the waves are 6 yards high I can eat whatever's offered. But even these varied experiences are getting tiresome.

Evening. The Southern Cross can already be seen quite clearly. The storm keeps raging with unrelenting force. We devoured our lunch like real sea wolves.

Whole crowds of little flying fish surround the ship just as they used to do. I wish we were in Colombo already. I also wish the waves got bigger and bigger, even if I had to vomit again. Life on a ship is so frightfully boring that a struggle with sea sickness turns into quite an entertainment. I've been reading *Lord Jim* by Conrad. A real masterpiece. Have you read it? There is a Polish trans [lation].

Trans. by M.K.

Hotel Suisse  
Kandy, Ceylon  
Monday, 29 June 1914

Dearest Father:

I'm in no state to describe the wonders I am seeing here. These things are absolutely monstrous in their beauty. We spent our last days at sea in frightful heat, apathy, and lethargy. The ocean was relatively calm and we weren't at all sick to our stomachs. On Saturday the second-class passengers were allowed to sleep on the first-class deck so they wouldn't get buried under the coal while they were refueling the ship at Colombo. Bronio preferred to choke in his cabin. I didn't sleep from the moment I saw the lighthouse at Colombo. From then I waited for us to land. At 2:30 A.M. we dropped anchor. Except for several nearby ships and different colored signal lights, I, of course, couldn't see anything. They woke me up at six and we packed, sweating profusely in the forty-degree centigrade heat in the cabin. My first impressions were unpleasant. Sweltering heat at nine in the morning. Red houses, streets red as the earth (*terra rossa*). Lush greenery. I went to look at the ocean (the color of the Baltic plus a beach). As soon as we passed by India, the sea changed from blue to green. There I chatted on a bench with a Sinhalese for the first time in my life. Bronio went to see some guy to whom he'd been given a letter of recommendation. Then we took rickshaws (each of us in a separate one) and went to Cinnamon Gardens.

I had thought a ride in a rickshaw would be something unpleasant because of having a guilty

conscience. That's not the case at all. They give the impression of being animals. Wonderful people. In color ranging from red chocolate to black bronze. Some with long hair, others with a top knot and circular combs all around their heads; the ends of these combs sparkle in the sun like phlox roses. The diabolical impression a tropical garden makes. Trees with forms and colors that are beyond belief. Bamboos, lianas, eucalyptuses, flowers of every color with shapes out of fairy tales. Then a Buddhist temple 150 years old. New wall paintings and gigantic painted statues and frescoes. But everything gaudy and exaggerated. You could tell that everything was new. We were taken for Jews. Six little Sinhalese took our shoes off. After lunch we went out of the city. Little houses in the midst of palm forests. Wonderful costumes. Pieces of chocolate and black flesh amid purple violets. Clean-shaven priests in long yellow garments with fans. We're in tropical outfits with pith helmets covering our heads. Despite the sweltering heat and dirt, and garbage in the streets, almost no unpleasant smell whatsoever. Colombo isn't any city at all. Just little houses scattered among the palm forests. Every blade of grass, every stone has its own individual character and doesn't remind us of anything we know. Outside the city, scrubby brush amid swampland skirting a golf course where stodgy Englishmen play golf. If you half-shut your eyes, you might think that you were in Lithuania. We slept for a rupee a person in a Sinhalese hotel. Everything is so original down to the smallest details. Mysterious, bronze monkeys wait on us half-naked. The beds have mosquito nets. Terrific heat. The sweat pours off a naked person lying quietly. Colombo is full of ravens that croak hopelessly all day and night and give a dismal cadaverous atmosphere to everything. (We were late for the train to Kandy and thus had to spend the night in Colombo.) In the port, instead of seagulls, red-bronze vultures with jagged wings fly about.

In the morning we're on our way to Kandy. The capital of the independent state of the Sinhalese. A rich Sinhalese planter is going with us and he's explaining things to us. Diabolical vistas. Meadows flooded with water in the midst of forests. Strange olive-green calami. In little ponds, purple-violet water lilies. The vegetation madder and madder, and the people more and more gaudily but wonderfully dressed (violet, yellow and purple, sometimes emerald green), which along with the chocolate and bronze bodies, and the strange plants in the background, creates a diabolical effect.

The mountains begin halfway there. Angolla Peak. The mountains give the impression of something soft made of peat. Everything is choked by the frenzy of luxuriant vegetation. Trees with leaves in unheard-of

spe  
39'  
sur  
sta  
co  
da  
in  
lec  
da  
of  
de  
Be  
st  
ni  
w  
w  
V  
n  
c  
u  
P  
n  
c  
v  
c  
t  
t  
t

w kajucie.) Spaliśmy na pokładzie na kocach. Po lewej stronie kobiety, po prawej mężczyźni. Nąstrój na dole straszny. Zapaszek fryzjersko-klozetowy, 39° i duszność nie do zniesienia. Do tego jęczący odgłos pompy. Piekło.

O 6 zbudził nas steward, żeby zabierać rzeczy, bo fala będzie skakać. Już kołysaliśmy się porządnie. Mijaliśmy właśnie przylądek Guardafui. Ostatnia przegroda oddzielająca nas od Oceanu Indyjskiego w odległości około 7 km. Skąła prostopadła na jakie 300 m i żółte wzgórze ginące w mgłę porannej. Kolory nieba o wschodzie i zachodzie – blade, a słońce zielonkawożółte. Zaraz za przylądkiem zadał monsun południowo-zachodni i chwyciły nas wielkie fale Oceanu, i nie popuszczą aż do Colombo, dokąd mamy trzy dni drogi bez ładu. Morze cudowne z barankami. Góry powstają i podnoszą bokiem (fala równoległa do kierunku) naszego kolosa, po czym zapadamy [w] rozchwiane jamy. Cudowny kolor wierzchołków fali – oksyd przezroczysty. Zeszedłem na kąpiel i zamiast tego rzygnąłem żółcią będąc na czczo. Leżałem i spałem 2 godziny nie mogąc wyjść, bo co wstałem, rzygałem. Gorąco okropne w kajucie usposobiło do rzyglików. Wybawił mnie p. Pitcher, oficer marynarki wojennej, przysłany przez Bronia, który rzygał na pokładzie. Pomógł się ubrać i wyprowadził. Od razu zrobiło się lepiej. I tak na czczo przeleźliśmy do obiadu, z którego tylko jedno danie zdołaliśmy zjeść. Znowu noc na pokładzie. Bronio w ogóle źle znosi upał i morze. Ja już się przyzwyczailem i do tego, i do tego, i fizycznie mam się zupełnie dobrze. Dziś Bronio jeszcze chorował rano. Ja już mam się dobrze mimo fal 6-cio metrowych i jem wszystko. Ale nawet ta różnorodność już się przykrzy.

Wieczór. Widać już wyraźnie Krzyż Południowy. Burza trwa z tą samą siłą. Obiad zjedliśmy zupełnie jak wilki morskie.

W dalszym ciągu tłumy rybek latających otaczają okręt. Marzę o dostaniu się do Colombo. Teraz chciałbym już fal coraz większych i nawet za to zdecydowałbym się chorować znowu. Tak strasznie nudne jest życie na statku, że walka z chorobą morską już jest rozrywką. Czytam *Lorda Jima* Conrada. Arcydzieło. Czy Tata to zna? Jest w tłum[aczeniu] polskim.

\*

Hotel Suisse, Kandy, Ceylon

Poniedziałek, 29 VI 1914

Najdroższy Tato:

Nie jestem w stanie opisać tych cudów, które tu widzę. Są to rzeczy wprost potworne od piękności. Ostatnie dni na morzu przeżyliśmy w strasliwym upale, bezwładzie i zniechęceniu. Morze było z lekka sfalowane i nie rzygaliśmy wcale. W sobotę pozwolono spać II kl. na pokładzie I klasy, bo Bronio wołał dławić się w kajucie. Nie spałem

od czasu, kiedy zobaczyłem latarnię w Colombo. Potem czekałem wylądowania. O 1/2 3 w nocy zarzuciliśmy kotwicę. Oprócz kilku bliskich statków i różnokolorowych sygnałów nie widziałem oczywiście nic. O 6 zbudzono mnie i pakowaliśmy się, oblewając się potem w 40° w kajucie. Pierwsze wrażenie było nieprzyjemne. Upał o 9 rano. Domy czerwone, ulice czerwone od ziemi (terra rossa). Zieleń jaskrawa. Wyszędłem nad morze (kolor Bałtyku z plażą). Już od czasu kiedy minęliśmy Indie, morze stało się zielone z niebieskiego. Tam rozmawiałem na ławce z Syngalezem po raz pierwszy w życiu. Bronio poszedł do jakiegoś faceta, do którego miał list polecający. Potem wsiedliśmy w riksasz (każdy w innego) i udaliśmy się do Cinamon Gardens.

Myślałem, że jazda rikszasem będzie czymś przykrym ze względu na wyrzuty sumienia. Tymczasem nic. Robią wrażenie zwierząt. Ludzie cudowni. Od koloru czerwonej czekolady do czarnego brązu. Jedni z długimi włosami, inni z węzłkami i grzebieniami okrągłymi naokoło całej głowy, których końce świecą w słońcu jak płomykowate różki. Piekielne wrażenie tropikalnego ogrodu. Drzewa o formach i kolorach nie do uwierzenia. Bambusy, liany, eukaliptusy, kwiaty wszystkich barw o kształtach z bajki. Potem świątynia Buddy sprzed 150 lat. Nowe polichromie i olbrzymie posągi malowane i freski. Ale wszystko jaskrawe i przesadzone. Znać, że nowe. Wzięto nas za Żydów. Buty zdejmowało z nas 6 małych Syngalezów. Po obiedzie (lunchu) udaliśmy się za miasto. Domki wśród lasów palmowych. Cudowne stroje. Kawaliki mięsa czekoladowego i czarnego wśród purpury, fioletołów. Kapłani ogoleni w długich, żółtych szatach z wachlarzami. My w ubraniach tropikalnych, w hełmach na głowach. Mimo upału i brudu, i śmieci na ulicach żadnego prawie przykrego zapachu. W ogóle miasta Colombo nie ma. Tylko wśród palmowych lasów rozsypane domki. Każda trawka, każdy kamień ma swój odrębny charakter i nie przypomina nic naszego. Za miastem zarośla nad bagnami otaczającymi teren golfowy, na którym grają ogłupiali Anglicy. Jak przymknąć oczy, można by myśleć, że się jest na Litwie. Spaliśmy za 1 rupię od osoby w hotelu syngaleskim. Wszystko oryginalne do ostatnich szczegółów. Usługują tajemnicze, brązowe małpy półnagie. Łóżka z siatkami od moskitów. Upał szalony. Z nagiego człowieka leżącego spokojnie pot leje się. Całe Colombo pełne kruków, które całą noc i dzień rozpaczliwie kraczą i nadają wszystkiemu ponurotrupi charakter. (Spóźniliśmy się na pociąg do Kandy i dlatego musieliśmy nocować w Colombo.) W porcie zamiast mew latają czerwono-brązowe sępy z wystrzępionymi skrzydłami.

Rano jedziemy do Kandy. Stolica samoistnego państwa Syngalezów. Jedzie z nami bogaty plantator Syngalez, który nam udziela wyjaśnień. Piekielne widoki. Łąki wśród lasów zalane wodą. Dziwne tataraki oliwkowozielone. Na stawikach – nenufary purpurowofioletowe.

blue  
ope  
the  
cele  
she  
Ma  
yet.  
far.

spe  
39'  
su  
sta  
co  
da  
in  
lec  
da  
of  
de  
Be  
st  
ni  
w  
w  
V  
n  
c  
u  
F  
n  
c  
v  
c  
r  
l  
i  
i

shapes, from huge voluminous ones to different designs fringed with minute jagged edges. The mountains bigger and bigger. We're going over valleys hundreds of feet deep, in the midst of which rice fields lie drowned in water, cut out in strange patterns. The trees are covered with flowers going from purple and orange vermilion to violet and red and white... [A page is missing.]

They cart around fruits resembling orange melons, full of sweet juice (a quart in each one) contained within thick, white walls. Green, yellow, and violet fruits. Gum trees, breadfruit trees. Coconut and banana palms. By the railroad-crossing gate, a group of children going to school. Further on you can see the school without any walls, full of children of many different colors. Mountains in fantastic shapes. Sheer cliffs fall off into the thick of the jungle. We were in Kandy at eleven in the morning. All along the way bushes covered with flowers, orange bordering on vermilion.

The hotel where we're staying, on the slope of the mountains covered with palms, lianas, and the devil knows what, on the edge of a lake full of fish and turtles, is an enchanted palace. (Eight rupees including meals.) All this causes me the most frightful suffering and unbearable pain, since she's no longer alive with me. Only the worst despair and the senselessness of seeing this beauty. She won't see this – and I'm not an artist.

I wouldn't wish my worst enemy to go through what I've been living through mentally on the ship and what I'm suffering, looking at the inconceivable beauty of the world.

All this is too much for me mentally and spiritually. Everything is poison which brings close thoughts of death. Will this inhuman suffering ever come to an end! I kiss you, Dad, my dearest Dad.

I kiss Mrs. Dembowska's hand.

Staś

Bronio sends his respects.

Trans. by D.G.

**To Jadwiga Zielińska**

[Envelope marked] Hotel Suisse/Kandy, Ceylon

The Honourable Miss Jadwiga Zielińska (c.o. Mr & Mrs Szyszłowski)  
47 Łobzowska Street, Cracow, Galizien/Austria,  
Europe

June 18, 1914

Passing through the Suez Canal

I'm awfully unhappy and feel that the end is near.

Forgive me everything. Destiny has arranged our meeting at a fatal moment: you were serene and pure, just about to begin life, while I was broken, disappointed and unable to create anything, descending into death. I could never make you happy while I'm so terribly, hopelessly and solely in love with My Lost One. It's quite possible that I do love you, but even that could not save me in this state of destruction I'm in. The beauty of what I'm seeing makes a monstrous impression on me. I knew in advance that whatever I attempt to do would overwhelm me, so I shouldn't have embarked on this journey. Well, what's done is done. But nobody /one or more lines missing from the xerox copy / nor my Parents should have made me suffer so terribly with no hope and no goal. That's why I'm asking all of you to forgive me everything. I still try to exert myself, but whatever I think of, the one thing I find in me is hopeless emptiness, while the world with its beauty only makes me experience the torment of uncreative barrenness and the terrible guilt at the thought that She cannot enjoy this beauty any longer and that I am to blame. Whatever Karol, that born and professed scoundrel, has done (which I cannot hold against him, the persistent pig that he is), aided by Miciński, that ultra-bohemian who commits little acts of meanness in the name of lofty ideas, my guilt has been so enormous as to dwarf anything else by comparison. I've been going through horrible torment. Until now everything in my life was beautiful. Now life has turned into ugliness. Only death can put an end to this. Please, forgive me.

Trans. by M.K.

\*

**To Karol de Beaurain**

[Address on the envelope] The Honourable Doctor /Karol Beaurain/ Executive/Sanatorium in Wisła/Ustroń post-office/Szlazk/Schlesien/Austria/Österreich/Europe

R.M.S. "Orsova"

[June 18 – 28, 1914]

Dear and Respected Doctor,

I did not come to you because every moment spent in Poland was an awful blow to my ambition. It was either death or New Guinea for me, nothing else. Well, easier said than done. Death and the thoughts that push one in its direction are just the same in Zakopane as in the Red Sea. I want to make it to Colombo. Every moment causes me unbearable pain. I'm worthless. As a human being I've been compromised. As an artist I have destroyed myself. Now I've decided to try and cure

Coraz wścieklejsza roślinność i ludzie coraz bardziej ja-skrawo, ale cudownie ubrani (fiolet, żółć i purpura, czasem zieleń szmaragdowa), co przy ciałach czekoladowych i brązowych, na tle roślin dziwnych, robi efekt piekielny.

Od połowy drogi zaczynają się góry. Angolla Peak. Góry robią wrażenie czegoś miękkiego zrobionego z torfu. Wszystko dławi się od rozwścieczonej roślinności. Drzewa o liściach form niebywałych, od olbrzymich fałdzistych do wystrzępionych w drobne ząbki różnych kształtów. Góry coraz większe. Jedziemy nad dolinami po kilkaset metrów, wśród których leżą zatopione w wodzie, porysowane w dziwne desenie pola ryżowe. Drzewa pokryte kwiatami od purpury i minii oranżowej do fioletu i laki z białą [brak stroniczki w rękopisie].

Roznoszą owoce jak dynia pomarańczowe, pełne soku słodkiego (kwarta w każdym), zamkniętego w grubych, białych ścianach. Owoce zielone, żółte i fioletowe. Drzewa gumowe, chlebowe. Palmy kokosowe i banany. Przy rampie grupa dzieci idących do szkoły. Dalej widać szkołę bez ścian, pełną różnokolorowych dzieci. Góry o kształtach fantastycznych. Skąły prostopadłe spadają w gęszcza dżungli [tu rysunek w tekście].

W Kandy byliśmy o 11 rano. Wzdłuż całej drogi krzaki pokryte pomarańczowymi jak minia kwiatami.

Hotel, w którym mieszkamy na zboczu gór pokrytych palmami, lianami i czort wie czym, otaczających jezioro pełne ryb i żółwi, jest zaczarowanym pałacem. (8 rupii z jedzeniem). Wszystko to sprawia najstraszniejsze cierpienie, ból nie do zniesienia, bo Jej nie ma ze mną. Tylko rozpacz najgorsza i bezsens widzenia tej piękności. Ona tego nie widzi – a ja nie jestem artystą.

Najgorszemu wrogowi nie życzyłbym, [aby] przeżył to, co ja przemyślałem na okręcie i co cierpię patrząc na niepojętą piękność świata.

Wszystko to się we mnie nie mieści psychicznie. Wszystko trucizna, która zbliża do myśli o śmierci. Kiedyż się skończy to nieludzkie cierpienie.

Całuję Tatę, Mój Najdroższy Tato.

Pani Dembowskiej rączki całuję.

Staś

Bronio przysyła Tacie wyrazy czci i całuje serdecznie.

### Do Jadwigi Zielińskiej

[Koperta z nadrukiem:] Hotel Suisse/KANDY, Ceylon

[Adres:] Wielmożna Panna Jadwiga Zielińska (u W. P. Szyszłowski) / 47 Łobzowska / Kraków / Cracow / Galizien Austria/Europe

18 VI 1914 Na Kanale Sueskim

Jest mi strasznie źle i czuję, że koniec jest już niedługo. Niech Pani przebaczy mi wszystko. Los kazał się nam spo-

tkać w fatalnej chwili, kiedy Pani spokojna i czysta wstępowała w życie, a ja złamany, bez wiary i możliwości twórczości, schodziłem w śmierć. Nigdy bym Pani szczęścia nie dał kochając tak strasznie i beznadziejnie Ją jedną. Możliwe, że Panią kocham, ale to nie mogłoby mnie uratować w tym stanie zniszczenia. Potworne wrażenie robi na mnie piękność tego, co widzę. Wiedziałem, że wszystko, co zrobię, jest ponad moje siły i nie powinienem być jechać. Stało się. Ale nikt [w kserokopii ucięta jedna –?– linijka tekstu] ani Rodzice kazać mi się męczyć tak potwornie bez żadnej nadziei i bez celu. Dlatego przebaczcie mi wszystko. Jeszcze się staram robić wysiłki, ale gdziekolwiek myśl zwrócę, pustka beznadziejna we mnie, a świat ze swoją pięknnością daje mi tylko poznać mękę niemożności pracy twórczej i straszego wyrzutu, że Ona już tej piękności pojmować nie może i to z mojej winy. Cokolwiek zawiniła taka kanalia z przekonania i z urodzenia jak Karol (za co nie mogę mieć pretensji, bo jest w nim konsekwencja świństwa) i tak ultrakaboty jak Miciński, który popełnia małe świństwa w imię wzniosłych idei, moja wina jest tak okropna, że wszystko wobec tego ma leje. Straszna jest moja męka. Dotąd wszystko było w moim życiu piękne. Życie teraz jest brzydota. Tylko jedna śmierć to skończyć może. Niech mi Pa n i przebaczy.

### Do Karola de Beaurain

[Na kopercie adres:] Wielmożny Pan Doktor / Karol Beaurain / Dyrektor Zakładu Leczniczego w Wiśle / Poczta Ustroń / Szląsk/Schlesien/Austria/Österreich/Europe

RMS „ORSOVA”. [18–28 czerwca 1914]

Szanowny i Kochany Panie Doktorze:

Nie przyjechałem do Pana Doktora, bo każda chwila spędzona w kraju zadawała straszliwe ciosy mojej ambicji. Albo śmierć, albo Nowa Gwinea. Tymczasem łatwo tak mówić. Śmierć i myśli, które do niej skłaniają, te same są w Zakopanem, co na Morzu Czerwonym. Chcę dobrać do Colombo. Każda chwila jest męką nie do zniesienia. Jestem bez wartości. Jako człowiek zblamowałem się. Jako artysta zniszczyłem siebie. Wziąłem teraz na siebie zobowiązania wyleczenia się przez podróż. Zabija mnie to do reszty. Wszystko, co widzę pięknego, działa jak najstraszliwsza trucizna. Czemu Ona tego nie widzi, czemu zmarnowałem Ją i najpiękniejszą miłość, jaka kiedykolwiek istniała. Nie idealizuję tego przez śmierć. Nie umiałem siebie cenić. Bo byłem bezwartościowym. Tylko Ją teraz kocham i tylko siebie nienawidzę. Śmierć musi przyjść czy prędzej, czy później, bo męki tak okropnej długo znosić niepodobna.

blue,  
open  
the c  
celac  
shee  
Man  
yet.  
far.

myself with this journey. But it's been killing whatever's still alive in me. Every beautiful thing that I see turns into the most lethal poison. Why can't She see all this, why did I waste Her and the most beautiful love that's ever existed. I'm not idealising them just because they are dead. I did not appreciate myself. Since I was worthless. Now I only love Her and hate nobody but myself. Death must come sooner or later because it's impossible to suffer such terrible torment for a long time.

Farewell, then, Dear Doctor. I kiss your wife's hands and thank both of you for all the kindnesses.

S. Witkiewicz

My self-portrait and the drawing of you will be waiting for you to claim them.

Trans. by M.K.

\*

**To Mrs Jadwiga Janczewska (Mother)**

[Envelope marked] Hotel Suisse/Kandy, Ceylon

The Honourable Mrs Jadwiga Janczewska/Leszczce estate/Kłodawa post-office/Kingdom of Poland/Kališka Guberniya/Russia, Europe.

Hotel Suisse, Kandy

[June 30, 1914]

My Dear and Respected Lady,

Why isn't She with me here. What a pity I didn't borrow some 2,000 roubles from you and we didn't come here. I could have made a fortune painting the beautiful things that I'm seeing here instead of being stuck in stinking Zakopane with all that rabble.

Without Her everything is more awful than words can say. Why cannot She, poor thing, see this. All this /one or more lines missing from the xerox copy/

Had our relations been normal, had we got married a long time ago, She'd surely have been happy with me. I feel nothing but the terrible love I have for Her and the awful regret. Seeing the beauties of this world and realising that She is no more and will never be again. It's a horrible punishment, too severe for my faults. Forgive me and think of me sometimes as you remember Her.

I kiss yours and Father's hands  
S. Witkiewicz

Please send my works to a posthumous exhibition. Miciński has been much to blame for what

happened. What of him. He's just an unpretentious pig.

She really loved me and that's why my errors have been the worst.

Trans. by M.K.

\*

**From Aniela Jałowicka to Maria Witkiewicz**

(the letter defines the date of Witkiewicz's arrival in St. Petersburg on the end of September 1914)

[St. Petersburg,

February 13 (January 30), 1915]

My Dear,

I thought you'd known for a long time what had been happening with your son. As far as we know, you should have received his letter telling about the events of his life in the latest months when he made the irrevocable decision to join the Russian army and defend Poland. He came here at the end of September, and having conquered many obstacles got admitted into the cadet school which he's going to leave in two months with an officer's certificate and join the army – the Polish legion, perhaps, which is being formed at this very moment. No reasoning, nobody's influence could persuade him to change his mind. He'd never been like he is now. Cool, one might even say – joyful, holding himself erect, carrying his head high, he shook himself free of that desperate apathy and inertia in which we saw him on his arrival. He's been studying diligently for the exams in military theory and has had no problems accepting the discipline. His health is perfect. He looks very handsome in his uniform; the heavy boots, the thick coat and the sabre do not cramp his style in the least. Believe me, I've had a really hard time before I accepted the idea of seeing him in the army, but that must have been God's will. His help often comes from the most unexpected quarters and is nonetheless effective. Towards the end of his military career your son may regain his spiritual balance and come back to you quite adjusted to normal life. We've sent 650 roubles to Lovrana since October. How come my brother hasn't got any of that money? My husband has complained at the Spanish embassy here. We'll try to find another way of sending money. We thought Mary and Nusia were in Florence but it seems that they are still in Zakopane, is that so? We've known nothing at all about Zeńcia's and our children's whereabouts for more than two months. The rest of the family are fine. We kiss all of you

Aniela

Trans. by M.K.

Żegnam więc Kochanego Doktora i Pani rączki całuję  
dziękuję Państwu za wszystko

S. Witkiewicz

Portret mój własny i rysunek p. Doktora będą zawsze  
moje odebrania.

#### Do Jadwigi Janczewskiej (matki)

[Koperta z nadrukiem:] Hotel Suisse/KANDY, Ceylon  
[Adres:] Wielmożna Pani Jadwiga Janczewska / maj.  
Leszcze, poczta Kłodawa / Królestwo Polskie, Gub.  
Kaliska / Russia, Europe.

Hotel Suisse, Kandy, [30 VI 1914]

Pani Szanowna i Kochana:

Czemu tu z Nią nie jestem. Co za szkoda, że nie poży-  
czyłem od Państwa ze 2000 rubli i nie wyjechaliśmy tutaj.  
Mógłbym zrobić majątek malując te cudowne rzeczy,  
które tu widzę – zamiast siedzieć w tym parszywym Zako-  
panem z tą całą hołotą. Bez Niej wszystko tak straszne, że  
słów nie mam do wyrażenia tego. Czemu Ona, biedaczka,  
nie widzi tego. To wszystko [w kserokopii ucięta jedna –?–  
linijka tekstu]

Żeby nasze stosunki były normalne, żebyśmy wzięli  
ślub dawniej, byłaby napewno ze mną szczęśliwa.  
Nic, tylko straszna miłość do niej i żal okropny. Straszna  
męka widzenia piękności świata z tym poczuciem, że Jej  
nie ma i nigdy nie będzie. Straszna kara, za wielka na  
moje winy. Niech Pani przebaczy mnie i pomyśli czasem  
o mnie wspominając Ją.

Całuję ręce Pani i Ojca

S. Witkiewicz

Moje prace, prosiłbym, żeby posłali Państwo na wysta-  
wę pośmiertną. Miciński bardzo winien był wszystkiemu.  
Cóż tamten. Zwykła świnia bez pretensji.

Moje winy najgorsze, bo Ona mnie naprawdę kocha-  
ła.

#### Od Anieli Jałowieckiej do Marii Witkiewiczowej

(list pozwala określić datę przyjazdu Witkiewicza do  
Petersburga na koniec września 1914 r.)

[13 lutego (30 stycznia), Petersburg 1915]

Moja Droga! Sądziłam, że od dawna już jesteś poinformo-  
wana o losie swojego syna. Według naszych obliczeń  
powinnaś była dostać jego list, w którym opisuje dzieje  
ostatnich swych miesięcy życia, kiedy to powziął nie-  
odwołalną decyzję wstąpienia do rosyjskiej armii, aby bro-  
nić Polski. Przybył on tutaj w końcu września i po liczy-  
nych trudnościach został przyjęty do wojskowej szkoły  
oficerskiej. skąd wyjdzie za dwa miesiące w stopniu ofice-  
ra, by wstąpić do armii - być może polskich legionów,  
które są właśnie w trakcie formowania. Żadne perswazy  
ni niczyj wpływ nie były w stanie zmienić jego postano-  
wienia. Takim, jakim jest teraz, nie był ni-gdy dotąd. Spo-  
kojny, można by rzec - wesoły, trzymający się prosto, z wy-  
soko podniesioną głową, otrząsnął się zupełnie z tego roz-  
paczliwego stanu apatii i inercji, w jakim zobaczyliśmy go  
po powrocie. Przygotowuje się znakomicie do egzaminów  
teoretycznych i świetnie znosi wojskowe rygory. Zdrowie  
jego jest doskonałe. W mundurze wygląda bardzo dobrze;  
ani wielkie buciska, ani gruby płaszcz, ani szabla bynaj-  
mniej go nie krępują. Wierz mi, że przeżyłam doprawdy .  
ciężkie chwile, zanim pogodziłam się z tym, że zobaczę go  
wojskowym - taka była jednak najwidoczniej wola Boga.  
Pomoc Jego przychodzi niejednokrotnie z najbardziej nie-  
przewidzianej strony, nie będąc przez to mniej skuteczną.  
Być może u końca swojej wojskowej kariery syn Twój  
odzyska równowagę duszy i powróci do Ciebie zupełnie  
już przystosowany do normalnego życia. Od października  
wysłaliśmy do Lovrany 650 rubli, czy jest możliwe, by brat  
mój nic jeszcze nie był otrzymał? Mąż zaczął reklamować  
w ambasadzie hiszpańskiej - spróbujemy innej drogi dla  
przesyłania pieniędzy. Sądziliśmy, że Mary i Nusia są we  
Florencji, tymczasem, zdaje się, nie opuściły one Zakopa-  
nego? O Żeńci i o naszych dzieciach nie wiemy zupełnie  
nic od przeszło dwóch miesięcy. Reszta rodziny miewa się  
dobrze. Całujemy Was wszystkie.

Aniela